Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 18 (421). *WARSZAWA, 5 maja 1928 r.* *ROK XXI*



KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 groszy, 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 groszy, 2 szpaltowy—1.50 zł.

DO PP. PRENUMERATORÓW.

Prosimy uprzejmie Szanownych Czytelników „Łowca Polskiego" o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu trzech tygodni od daty wyjścia danego numeru.

Zaznaczamy również, iż Sz. Czytelnicy, zalegający z opłatami prenumeraty, po wznowieniu opłat nie mogą rościć pretensji do posiadania wszystkich przeszłych numerów, gdyż ilość prenumeratorów wzrasta szybko, a Redakcja nie ma możności przechowywać zbyt wiele numerów zapasowych.

ADMINISTRACJA.

Ś.  P.

JAN SZTOLCMAN

Redaktor i twórca „Łowca Polskiego", znakomity uczony i pisarz myśliwski zmarł w Warszawie dn. 29 kwietnia, pogrążając w żałobie cały świat łowiecki. Cześć pamięci świetlanego człowieka, świetnego pisarza i niestrudzonego bojownika na niwie polskiego łowiectwa, które kochał, bronił i uszlachetniał.

KOMITET REDAKCYJNY „ŁOWCA POLSKIEGO".

Ograniczając się ze względów technicznych do krótkiej wzmianki o bolesnej stracie, jaka dotknęła naszą Redakcję, a z nią całe społeczeństwo myśliwskie w Polsce, następny numer pisma poświęcimy nieodżałowanej pamięci Zmarłemu. Numer ten ukaże się zapewne z parodniowem opóźnieniem.

ŁOWIECTWO W POLSCE POROZBIOROWEJ.

Utrata niepodległości państwa, która wstrząsnęła w posadach wszystkimi przejawami życia narodowego, zaciążyła również jak ołowiana chmura, nad łowiectwem polskiem, będącem jednym z bujnych przejawów tego życia...

W Polsce porozbiorowej **nowy duch** owiewa myślistwo... Ukochanie ziemi ojczystej, nieszczęśliwej i pognębionej, ukochanie bezmierne, bolesne, gorące, pociąga za sobą **umiłowanie przyrody tej ziemi** nadewszystko drogiej i bliskiej. Modny na zachodzie powrót do natury nigdzie nie trafił na grunt tak podatny, jak w Polsce, gdzie natura była jedyną rzeczą ojczystą, którą wolno było kochać, w Polsce, gdzie ziemiańskie piśmiennictwo urodziło się na łonie przyrody pod lipą czarnoleską i na ornej roli nagłowickiej, w Polsce, w której łowiectwo było szkołą rycerską i która całą swoją miłość do pognębionego rycerstwa przelała teraz na żyjące łowiectwo, jako szkołę hartu, i męstwa... I dlatego **ukochanie przyrody** stało się **źródłem roskoszy** łowieckiej owych czasów...

Pogłębił się i nabrał żywego tętna nieświadomy ongi związek myśliwego z naturą. Myśliwiec odtąd, „jak czarownik gada z ziemią, która, głucha dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha..."

Kontemplacja przyrody stanowi główny czar polowania. Mówią nam o tem cudowne mickiewiczewskie strofy, gdy natchniony poeta śpiewa:

> Ileż wam winienem, o domowe drzewa,
> słaby strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy,
> za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
> upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie
> zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie..
> A koło mnie srebrzył się tu mech siwobredy
> zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
> a tam się czerwieniły wrzosiste pagórki
> strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki.
> Wokoło była ciemność. Gałęzie u góry
> wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury,
> Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomem
> jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem.
> Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
> że tam nad głową morze wiszące szalało..
> Na dole jak ruiny miast: tu wywrót dębu
> wysterka z ziemi nakształt ogromnego zrębu,
> na nim oparte jak ścian i kolumn obłamy
> tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
> ogrodzone parkanem traw...

Słusznie pisze Kurowski — autor „Myślistwa w Polsce i Litwie", iż „oddanie się otaczającej naturze i wchodzenie myślą w siebie urabiało duszę. Może też stąd powstał wyraz myślistwo, którego inne języki nie mają".

Słusznie też mówi Wincenty Pol w „Roku Myśliwca", że człowiek współczesny „odcięty od żywego oddechu natury", polując, dopełnia „ten brak ciągłego związku z naturą w chwili, gdy się znajdzie śród wiejskiej ciszy, pod sklepieniem drzew cienistych lub pod namiotem gwiaździstego nieba..."

„Credo" myśliwskie owego wieku pięknie streścił we wspomnieniach swych z życia łowieckiego niezapomniany Kazimierz Wodzicki:

„Dla myśliwego knieja, step lub moczary są światem całym nie dlatego bynajmniej, żeby pragnął łupów i oczekiwał chwili, w której na widelcu ujrzy nietylko zabitego, ale i upieczonego zwierza, lecz dlatego, że ocenia wybornie czary dzikiej natury i że **napawa się pięknem**, jakie umie dojrzeć na każdym kroku i w każdej porze dnia albo roku..."

To „napawanie się pięknem" dostępne dla myśliwych, w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa, to ukochanie cudów natury, ten zachwyt, będący najwyższą radością — stanowią charakterystyczną cechę ducha owych czasów, w których miłość przyrody łączyła się nierozerwalnie z miłością ziemi ojczystej.

Drugą cechą była **romantyczna tęsknota** za **łowiecką przeszłością**... I ten przejaw miał ogól-

niejsze tło... Tęsknota za przeszłością łowiecką była wyrazem głębokiej tęsknoty za przeszłością, w której Polska niepodległa nie utraciła jeszcze niezależnego bytu.

Lecz wówczas, gdy literatura milczeć musiała i o przeszłości Polski pisać wzbroniono, za przeszłością łowiecką wolno było tęsknić...

Wyrazem takiej tęsknoty jest „tradycja myśliwska" W. Pola „Pan starosta Kiślacki".

„I lasy gdzieś szumią... i puszcza się mroczy" skarży się poeta.

„lecz trąbki myśliwskiej nie chwyci już ucho.
I złai łowieckiej nie ujrzysz na oczy.
I pusto, jakgdyby w pustyni i głucho..."

A przecież tak samo trop znaczy zwierz wszelki
i ptactwo wszelakie tak samo się wabi —
Tak samo się sklepi nad głową las wielki..
I łąka tak samo się w oczach jedwabi.

Innem źródłem tęsknoty za łowiecką przeszłością było ginięcie bogatych ongi zwierzostanów.

Władysław Spausta, autor obrazków przyrodniczo-łowieckich „Na tropach" (zm. 1896 r.) tęskni „za rajem utraconej przeszłości łowieckiej" i opowiada nam o zwierzynie wymarłej lub wymierającej.

Wyrazem pogardy owych czasów dla teraźniejszości łowieckiej była pogarda dla drobnej zwierzyny. Wojski oburzając się na kłótnię o charty i zająca, woła:

„Za moich, panie, czasów w języku strzeleckim
dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem szlacheckim,
a zwierzę niemające kłów, rogów, pazurów
zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów!
Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
strzelby, którą shańbiono, sypiąc w nią śrut cienki.
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha
żaden za zającami nie jeździł Hreczecha".



Niedźwiedź ubity przez p. Wacława Popiela z Humieńca w Karpatach.

Tak samo się zorza myśliwska ozłaca
i z cieplic tak samo to ptactwo powraca..
Tak samo jelenie czemchają te rogi
i dziki tak samo zaległy barłogi —
I niedźwiedź tak samo na owsy wychodzi,
tak samo na sarny ukryty ryś godzi...
Tak samo przez bagna łoś jeszcze pomyka..
Tak samo śród puszczy żubr stary poryka...
I wszystko tak samo jak działo się z wieka,
tak samo i dzisiaj bez zmiany się dzieje.
Lecz tylko już łowów nie znają te knieje!
Dziś tylko po łowach zostało podanie...

Tęsknota do rycerstwa i bohaterstwa przejawia się w tęsknocie do bohaterskiego łowiectwa.

Wspomniany już przezemnie Kurowski narzeka:

„Dziarskie uderzenie na rozjuszonego niedźwiedzia, rozognionego żubra, rozdziczałego odyńca, zmieniło się na polowanie czyli szukanie po polu rozpierzchłych kuropatw lub ukrytego w kotlinie zająca".

I „Starosta Kiślacki" Pola
„bił tylko królewską zwierzynę,
więc rysia i dzika, jelenia i głuszca,
niedźwiedzia — a resztę to płazem już puszcza,
a kotem i sarną obdziela chudzinę..."

Mówiąc i pisząc o „dawnych dobrych czasach", apoteozowano nie tylko jakość, ale i ilość zwierzyny.

Jako przykład takiej „apoteozy ilości" można przytoczyć wykaz łupów porucznika w „Staroście Kiślackim" Pola. Poeta mówi o nim z zachwytem, iż:

„Ptactwa nie liczył na pary i kopy,
lecz w drągi brać każe i liczy na snopy.
Więc snopy podlotów, cyranek i kurek,
a później snop kszyków, dubeltów, chruścieli,
i z łanu przy żniwie po snopie przepiórek".
Zaś w jesieni:
„snop słonek na drągu kołysze się w sieni".

Okres utraty niepodległości rozbudził w Polsce żarliwą miłość do ziemi ojczystej, do przyrody ojczystej. Okres niewoli rozbudził żarliwą **miłość do swobody.** Tem tłumaczyć należy, iż w Polsce porozbiorowej tak gorąco ukochano łowiectwo, które było jednocześnie obcowaniem z przyrodą i zażywaniem swobody... Tem również tłumaczyć wypada **niechęć do praw łowieckich**, jako niechęć do więzów w nowej dziedzinie ducha, oraz jako niechęć do rzeczy nowej, niezgodnej z dawną, umiłowaną tradycją łowiecką.

Niechęć ta przepełnia karty „Pana Tadeusza". Dźwięczy ostro w słowach Sędziego, gdy ten oświadcza:

„Niech tam sobie kto chce chwali
Niemców cywilizacje, porządek Moskali:
Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów
prawować się o lisa i przyzywać drabów,
by wziąć w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje.
Na Litwie, chwała Bogu, stare obyczaje:
mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,
i nie będziemy nigdy o to robić śledztwa.
I zboża mamy dosyć, psy nas nie ogłodzą,
że po jarzynach, albo po życie pochodzą...
Na mergach chłopskich bronię robić polowanie".

JULJAN EJSMOND.

(Dok. nast.).

WIOSENNE WSPOMNIENIE.

Wiosna pamiętnego 1920 roku była niebywale pogodna i ciepła. Już w marcu pola okryła surowa młoda ruń, zazieleniły się łąki, a mokradła i rowy przydrożne przeświecały złotemi kępami kaczeńcu.

Wieczorami na odległe bory kładł się błękitnawy opar mgieł, które zwiewane łagodnym podmuchem to zasłaniały czuby rosochatych sosen i smigłych, niebotycznych jedli, to kładły się u ich stóp, gęste i zimne — jakby tchnieniem swem chciały zdusić wiosenny pęd do życia.

Ciepło było, pogodnie i cicho. Jedynie od wschodu w ciszy nocnej dochodziły do uszu pomruki i dźwięki dziwne, które raczej wyczuwało się nerwami. Były to dźwięki czy echa czegoś, co zdolne jest opanować dusze ludzkie. Jakieś tęskne oczekiwanie czegoś beznadziejnego, co stać się musi a jest niewiadome — jak przyszłość. Złe przeczucia rodziły smutek i przygnębienie. Niepewność malowała się na wszystkich twarzach.

I nic dziwnego. Poszumy idące od wschodu nie były wywoływane żadnemi zjawiskami naturalnemi. Nie były to pomruki i echa gdzieś daleko szalejącej burzy, — lecz odgłosy bitewne, odgłosy walk morderczych, gdzie młody, nieliczny, bosy i głodny żołnierz polski zmagał się z odwiecznym swym wrogiem. Wrogiem, którego cynizm i hasła złowieszcze wzmagały potęgę i siłę liczebną.

Pomimo wszelkich braków żołnierz nasz, własnemi piersiami i krwawym bagnetem w przemożnej nawale barbarzyńców, pod przewodem umiłowanego Wodza, zakreślał granice Wolnej i Niepodległej z 1772 roku.

Pan Jan, człowiek zacny, jak to się mówi z kościami, z którym od dwudziestu lat zgórą łączy mnie sympatyczna przyjaźń, obiecał, że zabierze mnie z sobą na głuszce. Pomimo, że sam był jedynie myśliwym z półmiska, znał moją żyłkę i wiedział, że takiem polowaniem zrobi mi wielką przyjemność.

Panie Janie, jakże będzie z tym głuszcem?

Widzisz pan „psia krew", takie bowiem pan Jan miał polskie przysłowie, które powtarzał na początku i końcu każdego zdania, a które niejednokrotnie stawiało go w kłopotliwem położeniu w stosunku do osób mało go znających.

Widzisz pan, powtórzył, kręcąc papierosa, myślę, że na głuszce to już będzie trochę zapóźno.

Ee — myli się pan, panie Janie — primo, że to dopiero pierwsza połowa kwietnia, secundo, że pewnie brzezina jeszcze nie ma liści, to i głuszce śpiewać powinny.

* * *

Około południa dojechaliśmy do Łunińca.

Mieliśmy jeszcze dwie godziny jazdy do Żytkowicz. W tym czasie mój towarzysz podróży wtajemniczył mnie, w jaki sposób myśli urządzić polowanie. Miał mnie powierzyć opiece pułkownika Z. b. oficera b. gwardji cesarskiej, znanego w okolicy nemroda, obecnie pełniącego obowiązki leśniczego. Tak się też stało.

W godzinę może po przyjściu pociągu do Żytkowicz przyszedł do mnie, bardzo układny i sympatyczny pułkownik Z. Zapoznaliśmy się, a jako myśliwi, mieliśmy dość tematów do rozmowy.

Pułkownik, rosjanin z pochodzenia, mówił płynnie po polsku. Gawędząc swobodnie, dowiedziałem się, że gajowi są już wysłani na podsłuchy.



Wiosenne wspomnienie.

My zaś z pułkownikiem mamy wyjść po wczesnej, wieczorowej herbacie do siedzib owych gajowych. Dowiedziałem się przytem, że w okręgu, w którym mamy polować, grają trzy głuszce.

Ciekaw jestem, co też Waśka z bratem zrobił na podsłuchach, rzecze pułkownik. A wie pan, że ten Waśka to ciekawa i sprytna sztuka, bardzo lubi wszelkie wyprawy łowieckie, lecz sam flinty do ręki nie weźmie.

A to czemu? — pytam.

To już jego tajemnica, — nie chce nic mówić.

Może miał jaki wypadek?

Robiłem różne przypuszczenia, lecz bez wyniku. Dawniej, przed wojną, polował i strzelał doskonale. Zna wszelkie tutejsze sposoby polowań i znakomicie stosuje, na podstawie obserwacji zachowanie się swoje, do zwyczajów tutejszej zwierzyny.

Jedno przychodzi mi na myśl, mówi dalej pułkownik — oni (białorusini) wszyscy są bardzo zabobonni, — może miał jakie widzenie, czy coś podobnego. Znam Waśkę kilkanaście lat i wiem, że to człowiek uczciwy. Że jest to jeden z tutejszych zabobonów, sądzę z tego, że jak zagadnę Waśkę, co go od polowania odrzuciło, odpowiada: odkrestiwsia pane i wże.

Tymczasem doszliśmy do jakiegoś parterowego, murowanego domu, — była to gajówka. Weszliśmy do słabo oświetlonej, dużej izby. Powietrze w niej było tak ciężkie, że już nie siekiera, lecz chyba kowadło zawisłoby w powietrzu.

Na ławie pod oknem siedział młody parobczak, który wstał na nasze powitanie.

A gdzie Wasia? — pyta pułkownik.

Jeszcze ne wiernówsia, pane.

Ty z nim był?

Był, pane. My rozeszli się w lesie, — ja obsadził jednoho głucharia na Szczyrom Biłotie, taj wiernówsia, — Waśka na Mokryj Bor, do toho, znajetie piewuna.

Palimy papierosy, rozmawiamy. — Waśka nie wraca.

Wierno Waśka chitryt szto to, zagaduje parobczak. Wy jemu nakazały sztoby, znaczyt, głuchar' był — to on jewo wierno śledujet'.

W izbie było coraz duszniej, — wreszcie wszedł Waśka.

Co się z tobą dzieje Wasia? — pyta pułkownik.

Waśka chłop średniego wzrostu o twarzy szczupłej, opalonej słońcem i smaganej wiatrami, nie zaraz odpowiedział. Rozejrzał się po izbie i rzekł do krzątającej się kobiety: nuu matuszka, dajka szto zakusit', hołodien bolno. Kiedy postawiono na stole miskę z jakiemś jadłem, siadł i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie pułkownika. Ta gdzie że mnie byt' — był na Mokrom boru, a tot siromacha prysiew kak raz na tu jołku pod kotoroj ja siżu, tak szto? — puhat' jeho sztoli? On sidit' na jeli ja pod jelju — tak sidim siebie oba. Głuchar' to tot samyj piewun, stał chodit' po wietwie — nastorożywsia — dumaju, uletit okajannyj — niet sidit, barmoczet. Siżu i ja — dumaju — ach ty proklatyj — tepiercze bymnie rużjo, jaby tiebie nuuu — on usio wiertitsia, obsażywajet sia. — Ja siżu i nini — tak sidim bolsze czasu. Wdruh głuchar' naczał szlifowat' raz drugoj. Pict' wzdumał sztoli? — słyszu pierestał. Posidieł ja jeszczo małeńko, potom po tichońku, połzkom, połzkom — uszoł.

Gdzie ten głuszec tak cię przysiadł, Wasia? — pyta pułkownik.

Kak raz za wodoju na Gradie, riadom z hołotom — nużno jeho zachodit' czerez wodu — inacze nie zajdesz — bołotom wiazko. Nuuu — tiomno że w lesu — tiomno, — treba by nam idti.

Chyba jeszcze wcześnie? — zapytuję.

Niczewo, niczewo! mowi Wasia, pojdiom zajdiom na bugarok za bierezniakom — razłożym ogoniok.

* * *

Iść trzeba było około trzech kilometrów. Po przejściu kilkuset kroków weszliśmy w las. Rzeczywiście w lesie było ciemno. Myślę sobie, — jak ja tu mam zobaczyć głuszca w taką ciemnicę, skoro idącego przedemną Waśkę ledwie rozróżniam w odległości kilkunastu kroków.

Odczuwa się jakiś tajemniczy nastrój, — mówimy półgłosem. Pytam Waśki, czy jeszcze daleko. Budiet jeszcze poł wiersty — tepiercze pojdiom na lewo, czerez bierieznik, a tam uż prysiadiem, taj ogoniok razłożym.

Idziemy dalej, — co parę kroków potykam się lub dostaję mokrą gałęzią brzeziny w głowę.

Wasia zatrzymał się. Nu wot oddochniom. Za chwilę ułożone z kory brzozowej i suchych gałęzi, błysnęło ognisko. Siedliśmy z pułkownikiem na wilgotnej ziemi — Wasia znosił paliwo.

Obserwuję refleksy świetlne, rzucane przez płonące ognisko, które chwilami przygasa, — podsycone świeżym materjałem, rozjaśnia się, migocząc złotem na białej korze brzóz. Stopniowo nastrój wyjaśnia się jak i niebo.

W pewnej chwili Wasia rozejrzał się po niebie i zadecydował, że już trzeba iść, bo pewnie będzie pierwsza. Spojrzałem na zegarek, — była punkt pierwsza.

Nabiliśmy z pułkownikiem strzelby, zapalili ostatnie papierosy i ruszyliśmy po pochyłości pagórka ku Mokremu. Nagle Waśka przystanął — dalsze idti nelzia, tut prysiadiem, budiem słuchat' i nini.

Siedzimy długą chwilę. Wreszcie Wasia wskazując ręką kierunek szepcze „hraje".

(Dok. nastąpi). BOLESŁAW GADOMSKI.

NOCNA WYCIECZKA.

Wczesna jesień ubrała lasy jasnem złotem. Pożółkłe brzeziny świeciły, jak pochodnie, w świetle słońca, wędrującego po bladym błękicie nieba. Stary ogród, pełen lip, klonów, dębów i świerków, grał tęczą wszystkich barw, od purpury do ciemnej zieleni i odbijał się, jak bogata plama w drgającej zlekka tafli jeziora.

A właśnie czółno przybiło do brzegu i wyskoczył z niego młody chłopiec ze strzelbą na plecach, ubrany w zielone płótno i szeroki, kolisty kapelusz. Porzucił wiosło na brzegu i szedł ścieżką ku domowi, który rozsiadł się wśród przepychu ogrodu i rozpostarł wszerz gościnne ramiona swoich skrzydeł, wabiąc ciepłą barwą słonecznych ścian i szeroko rozwartemi na jesienne podmuchy oknami.

Ostatnie to były dnie wakacji Janka, tuż miała nadejść chwila, gdy trzeba będzie porzucić progi rodzinnego domu, zostawić piękne o każdej porze dnia i nocy jezioro, ukochany, stary ogród i lasy zamglone oparem chłodnych nocy, ciągnące ku sobie zapowiedzią niedalekich łowów z ogarami. Chociaż Janek młodym był jeszcze myśliwym, ale rycerskie to zajęcie ciągnęło go nieprzeparcie. Trzeci rok dopiero upływał od chwili, gdy chłopiec wziął po raz pierwszy do ręki nabitą strzelbę, a tydzień temu święcił właśnie pierwszą rocznicę pamiętnego dnia, gdy, spłoszony z gęstych krzaków, pomiędzy polem dojrzałego owsa, stary kogut, cietrzew, legł od jego celnego strzału.

Dochodząc do stopni werandy, chłopiec obejrzał się wstecz, ku jezioru, które, jak błękitna makata, przetykana srebrnemi nićmi słonecznej fali, widniało w kilku szerokich lukach pomiędzy odwiecznemi drzewami ogrodu. Smutne refleksje niedalekiego

rozstania podniosły tęsknem westchnieniem pierś jego, w myśli ujrzał już stłoczone wzdłuż ulic kamienice i tłumy ludzi, falujące po trotuarach, przypomniał ponure godziny lekcji w dusznej sali z katedrą, upiększoną brodatą fizjonomją moskiewskiego belfra.

Wstrząsnął się dreszczem odrazy i w paru skokach stanął na werandzie, spotykając się oko w oko ze służącą.

— A ot dobrze, że panicz już jest — rzekła. — Tam Borejko w kuchni czeka, dawno już, chce widzieć panicza.

Janek zerwał strzelbę z ramion, pośpiesznie powiesił ją na wieszadle w przedpokoju i co tchu pomknął przez długi korytarz na koniec domu, gdyż wiedział, że Borejko przychodzi do niego tylko w myśliwskich sprawach.

Gdy chłopiec wpadł do kuchni, z pod okna podniosła się krępa, niezdarna figura w długiej, brunatnej siermiędze i ciężkich butach, sfałdowanych od kolan do kostek w pokraczne, grubaśne harmonje. Z twarzy, całej pokrytej gęstym zarostem, nietkniętym nigdy nożycami, a tworzącym jednolitą warstwę futra, błysnęły siwe, chytre oczy, a rysy, o ile można je było widzieć z pod pokrowca włosów, przybrały wyraz tajemniczy.

— Nu, paniczku, „akazja" jest — szepnął, przymykając jedno oko, a filuternie mrugając drugiem. — Pójdziem na dwór, powiem — dodał, kiwając głową w stronę, gdzie kucharka krzątała się koło pieca.

Janek znał już dobrze obyczaje Borejki, który lubił otaczać się tajemnicą, z każdego drobiazgu robił ważną sprawę i szeptał ją do ucha, jakby wyjawiał srogi, dyplomatyczny sekret.

Gdy wyszli przed dom, chłop obejrzał się jeszcze podejrzliwie wkoło i, zbliżając swe kudły do ucha Janka, szepnął:

— Wołk, paniczku, krowę zarżnął w lesie, koło naszej wsi, musi przyjdzie do niej w nocy, trzeba posiedzieć, popilnować, jak raz i zabić, trafi się.

Jankowi oczy zaiskrzyły się. Chociaż małe miał doświadczenie na tem polu, ale ciągłe obcowanie z ludźmi leśnymi, długie rozmowy i opowiadania o przygodach łowieckich, słyszane z ust synów puszczy, a także dziedziczne zdolności w tym kierunku, rozszerzyły różnorodny zakres jego wiedzy myśliwskiej znacznie obszerniej, niżby to uczynić mogły długie lata, przepołowane na łatwych, niemających łowieckiego znaczenia, zajęczych kotłach i nagankach.

Zrozumiał więc odrazu, że szanse strzału do wilka są znaczne, ponieważ jest wszelkie prawdopodobieństwo, że zwierz, który zadusił spotkaną za dnia krowę, powróci do niej w nocy sam, albo z młodemi, koczującemi w tym czasie całem stadkiem z miejsca na miejsce.

W krótkich więc, i gorączkowych słowach umówił się z Borejką, że przyjedzie do niego pod wieczór i że pójdą na noc pilnować przy przynęcie, poczem brodacz odszedł, a Janek pobiegł do nadleśnego, wielkiego swego przyjaciela, a starego myśliwego, aby się go poradzić, jak urządzić zasadzkę.

Pan Józef, dowiedziawszy się szczegółów ze słów Janka, pokręcił trochę sceptycznie głową.

— Szelma jest wielka, ten Borejko — rzekł — niebardzo można jemu wierzyć, a i myśliwy żaden, tylko kombinuje, jakby jemu rubelka od pana wyciągnąć. Ale cóż, jeżeli krowa zarżnięta, a tego chyba nie skłamał, to warto spróbować. Trzeba wam tylko zrobić zasiadkę gdzieś wyżej, na drzewie, to prędzej zwierz przyjdzie, bo duchu ludzkiego nie poczuje. Trzeba panu wcześniej jechać i wszystko przygotować. Ot, jabym chętnie pojechał, ale nie mogę, mam jutro sąd w Siebiczu i muszę wyjechać jeszcze w nocy.

Godziny wlokły się nieznośnie. Janek dawno już narządził potrzebne ładunki, sprawdził wewnętrzny i zewnętrzny stan swej wiernej strzelby, przygotował w torbie coś do jedzenia. Wreszcie nadeszła czwarta, furman podał zaprzągnięte w lekką „linijkę" konia i nasz myśliwy wyruszył, żegnany czule przez matkę, drżącą zawsze z niepokoju przy dalszych wycieczkach syna.

Po godzinie drogi był już w Zajezierzu, niewielkiej wioszczynie, położonej na samym brzegu wielkiej puszczy. Słońce jeszcze świeciło, ale coraz bardziej zamglone, a gdzieś od zachodu podnosił się szary tuman jesiennej niepogody.

Zastał Borejkę wylegującego się na piecu. Chłop twierdził, że jeszcze za wcześnie, i dopiero energiczne perswazje Janka, tłumaczącego mu o napowietrznej budowie, zruszyły z miejsca ospałą postać.

Wyprzągnięty koń został umieszczony w małej stajence, Borejko zatknął za pas siekierę, zdjął ze ściany krótką, wielkokalibrową jednorurkę i myśliwi ruszyli w drogę.

Gdy doszli do skraju puszczy i po starej, wyboistej grobli przedostali się przez pas zarosłego olszyną moczaru, słońce znikło już zupełnie, zduszone przez zwały poszarpanych, drobnych chmurek, ciągnących od zachodu nieprzejrzanymi zastępami.

Borejko pokiwał głową.

— Musić dożdż budzieć — westchnął — zada nam dobrze.

— Drobny deszcz nie zaszkodzi — odrzekł pośpiesznie Janek, w obawie, czy jego przewodnik nie zechce nawrócić ku domowi.

Szli dalej wyniosłym, sosnowym borem. Niedługo skręcili z drogi i zaczęli przedzierać się przez młodniak świerkowy ku błotu leśnemu, majaczącemu w oddali wolniejszą przestrzenią.

Niebawem weszli na moczar, porosły sośniną i brzozą, o wysokich, trawiastych kępach, ubranych bukietami paproci, krzakami bagna, pijanic i łozy. Nogi, obute w łapcie, zamokły, pomimo, że Janek starał się skakać z kępy na kępę. Przecinając błoto na ukos, zbliżyli się do suchej wyspy, porosłej ciemnymi świerkami, otoczonej pasem żółtej, suchej trzciny.

Raptem w pobliżu załopotały gdzieś grzmiące skrzydła i z trawy na sto kroków przed myśliwymi poderwał się głuszec kogut. Błyskając w ostrym locie białem podbiciem skrzydeł, to znów migocąc kasztanowatemi pokrywami, płynął równo między drzewami, jak ciemny pocisk, wystrzelony z niewidzialnej armaty.

Myśliwi stanęli, jak wryci. Janek pożerał oczami znikającego w oddali ptaka, wspaniałego w swym królewskim majestacie, a serce biło mu mocno do wtóru z milknącym szumem lotu.

Borejko cmoknął przeciągle i z lubością.

— Isz ty, jakoj! — zwrócił się do towarzysza. — A i bahatyj sukinsyn!

„Bogaty" kogut odleciał jednak i nie miał wrócić, więc po chwili niemej kontemplacji, myśliwi wyruszyli dalej.

Skończyła się nareszcie męcząca przeprawa. Znaleźli małą polankę wśród mieszanego lasu, a na niej tuż przy krzakach czarną masę zarżniętej przez wilka krowy.

Janek oglądał się, gdzieby najdogodniej zrobić na drzewie zasadzkę, ale przynęta leżała w tak fatalnem miejscu, że znikąd z góry nie było jej widać. Z rozpaczą więc spojrzał na Borejkę.

— Niczoho, paniczu, on i tak przyjdzie. Ot tu, w krzakach, zasiądziem, miejsce dobre i widać jego będzie gładko.

Wczesny zmierzch już zapadał, przyśpieszony przez chmury, które szare, jak pajęczyna, zrazu poszarpane, a potem jednolite i beznadziejne, zaciągnęły całe niebo, nie pozostawiając ani skrawka jaśniejszego, któryby mówił o słonecznem jutrze.

Janek siedział pierwszy, zakryty prętami łozowego krzaku i kępą paproci, a tuż za nim przykucnął Borejko.

Ciemniało szybko. Cisza była zupełna, lekki podmuch zachodniego wiatru nie szeleściał nawet w nawisłych gałęziach i tryskających wkoło snopach pożółkłych traw.

Wtem mała, ledwo znaczna, ale złowieszcza kropelka deszczu prysnęła na twarz Janka i zaraz druga — na rękę. Podmuchy wiatru ucichły zupełnie. Pochmurne niebo nawisło tuż nad czarną, otuloną w mrok ziemią. Coraz więcej kropel drobnych, a dokuczliwych leciało z góry z niewidzialnej, chmurnej opony. Pojedyncze uderzenia łączyły się w szelest ledwie dosłyszalny, miarowy, syczący, beznadziejnie smutny.

Janek zaciął zęby i siedział bez ruchu.

Nastrój uczynił się nad wyraz ponury. Chłopiec czuł, że w taką właśnie porę wilk musi przyjść, że przyjdzie napewno, pogoda była rzeczywiście „wilcza". Naprężonymi nerwami przenikał zbliżanie się jakichś tajemnych kroków, zdawało mu się, że przez szmer deszczu słyszy już szeleszczącą pod ostrożną stopą trawę.

A czas płynął. Na rozbujałą przez oczekiwanie wyobraźnię nasuwał się potrochu cień zwątpienia, na duszę padała martwota głuchej nocy i pustki.

W pewnej chwili doszło go z tyłu przytłumione chrapanie. To towarzysz jego skracał ciężkie chwile snem sprawiedliwego. Szturchnięty lekko w bok, przestał wprawdzie chrapać, ale spał dalej, zwinięty w kłębek, jak kosmaty niedźwiedź.

Janek poczuł się dziwnie samotny, jakby oderwany zupełnie od całego szerokiego świata. Zdało mu się, że siedzi już tu od wieków. Dziwną się raptem stała świadomość, że gdzieś tam poza tą ciemnością są ludzie weseli i rozbawieni, tonący w powodzi światła. Niby zakątek raju, zamajaczył mu przed oczami własny jego pokój, taki bliski sercu i kochany, oświetlony dobroczynnym płomieniem starej lampy.

Po niejakimś czasie uczyniło się nieco widniej, chociaż deszcz nie ustawał ani na chwilę, widocznie gdzieś za grubą powłoką chmur wzbił się w górę księżyc i przesączył przez dżdżystą oponę nikłą cząstką swego światła.

Plama leżącej krowy znowu zarysowała się wyraźniej na ciemnem tle ziemi i znowu znajome naprężenie owładnęło młodym myśliwym.

Znów czekał, spodziewał się, wyglądał. Zaczął drżeć febrycznie pod przemoczoną przez natrętny deszcz kurtką, napoły z zimna, napoły ze wzruszenia, a zęby dzwoniły mu do taktu rozbujałym myślom.

Lecz czas, płynący wytrwale, naciągał znowu pomrokę obojętności, przychodziła apatja, dawało się we znaki zmęczenie. Chwilami oczy zaczynały się kleić i chłopiec walczył ze snem, chcąc wytrwać na posterunku.

Pomimo jednak nadludzkich wysiłków, zasnął, sam nie wiedząc, jak i kiedy. Jakieś widziadła senne nawiedzały go, aż w pewnej chwili ocknął się pod wrażeniem silnego bólu w nodze. Poruszył się ostrożnie i przekonał, że ból spowodowała niewygodna pozycja.

Zapuścił wzrok ku przynęcie i wtem drgnął cały. Tuż za leżącą krową ujrzał cień jakiś przysadzisty i nieruchomy. Serce zabiło, jak młot, zielone kręgi stanęły w oczach. Po chwili zaczął podnosić strzelbę do twarzy. Ale zdziwiła go nieruchomość ciemnej postaci i jej kształt nienaturalny. Wyciągnął więc rękę wstecz i dotknął ramienia Borejki. Czujny chłop obudził się natychmiast i przybliżył swą obrosłą twarz ku chłopcu, który niemym ruchem wskazał na dziwną plamę.

— Nu, szto? — szepnął Borejko.

— Cicho! — syknął Janek — nie widzisz?

— Gdzie? Co?

— Tam...

— Tam?... Niczoho nima!

— A ta plama?

— Etoż kust, paniczu — odrzekł Borejko i westchnął głośno. — Wołk, musi, nie przyszedł, chitry zwierz!

Janek korzystając z gwałtownego odprężenia nerwów, sięgnął po zegarek, który to zabieg wymagał dość skomplikowanych ruchów, i zbliżając go tuż do twarzy, dojrzał zarysy wskazówek. Było wpół do czwartej.

— Późno już, chyba pójdziem do domu — wyrzekł grobowym głosem Borejko, ziewając rozgłośnie.

Janek był cały skostniały zarówno od chłodu, jak i od niewygodnego, a długiego siedzenia.

— A może wilk był i poszedł? — zapytał — bo i ja trochę zasnąłem.

— Może i był, kto jego wie? — odrzekł sentencjonalnie Borejko — a spać, paniczu, nie trzeba! Ot tamtej nocy lepiej było, widniej, miesiąc świecił.

— Jakto tamtej nocy? A cóż wtedy było?

— A no, ja też tu siedział, tego wilka pilnował.

— No?

— I wilk przyszedł. Ot widzisz, paniczu, jak tamta dróżka wychodzi prosto na nas, on stamtąd i przyszedł, i jak raz na mnie.

— No i co?

— Tak ja jemu zadał! Ale ciemno było, i szrutem tylko... poooszeed...

— To ty strzelałeś do niego tamtej nocy?!

— Nu, tak.

— I chciałeś, żeby przyszedł teraz drugi raz? Stary dureń! — wybuchnął Janek.

— Nie sierdzicieś, paniczu, mógł przecie drugi przyjść...

Ale Janek już nie słuchał. Wyskoczył jednym susem z krzaku.

— Prowadź do domu! — burknął.

Ponury był odwrót przez mokre krzaki moczaru. Podniecenie zasadzki i nadzieja przygody, mocno zaprawnej romantycznością w ramach okrytej płaszczem nocy puszczy, znikły, jak sen, miejsce ich zajęło rozgoryczenie za niesumienność i oszukaństwo chłopa i złość za wystrychnięcie na dudka. Zły jakiś chochlik natrząsał się wciąż w duszy chłopca nad jego łatwowiernością i drwił z nieudanej eskapady.

Świtało, gdy stanęli z powrotem w Zajezierzu. Smętny, szary dzień wstawał, zapłakany od chwili swych narodzin, zawlekający deszczową mgłą zarysy domów i drzew, ponury zwiastun nadciągających, ciężkich w przyrodzie czasów.

W godzinę później Janek pił gorące mleko w starej jadalni, gdzie poważnie tykał mahoniowy zegar, a potem z przyjemnością wślizgnął się pod ciepłą kołdrę i zasnął snem utrudzonej młodości.

A gdy obudził się przed obiadem, świat, pomimo zadeszczonej atmosfery, wydał mu się weselszym i radośniejszym, niż zrana. Nocna przygoda utraciła cały swój tragizm, a nabrała cech humorystycznych. I Borejko nie wydał się tak wielkim łotrem, jakim był rano.

— Szelma jest i huncwot, to prawda — rzekł do siebie Janek — ale cóż poradzić, kiedy jednak go lubię.

WŁODZIMIERZ KORSAK.



DROGA DO WYDZIERŻAWIENIA POLOWAŃ NA GRUNTACH WŁOŚCIAŃSKICH.

Wobec wysuwanych przez myśliwych wątpliwości zmuszony jestem raz jeszcze zabrać głos w sprawie tworzenia i rejestracji obwodów łowieckich wspólnych, oraz użytkowania polowania w tych obwodach.

Obwody łowieckie wspólne, a w szczególności spółki łowieckie są dla województw centralnych i wschodnich czemś zupełnie nowem. To też ludność wiejska odnosi się do nich jeszcze z właściwą sobie nieufnością, a ponieważ nie wie, jak się do utworzenia obwodu wspólnego zabrać, zniechęca się i woli zrzec się dochodu z dzierżawy polowania, który zresztą nie jest zbyt wielki, aniżeli przezwyciężać piętrzące się trudności.

Z tym stanem rzeczy nie może się jednak pogodzić świat myśliwski. Lasy państwowe i grunty drobnych właścicieli, nadające się do utworzenia obwodów łowieckich wspólnych, stanowią jedyne tereny, które towarzystwa łowieckie mogą dzierżawić. Nie należy więc czekać, aż ludność wiejska oswoi się ze spółkami łowieckiemi i przekona się, że utworzenie spółki nie jest niczem niebezpiecznem ani uciążliwem. Trzeba uświadamiać, przedstawiać korzyści płynące z wydzierżawienia obwodu łowieckiego; w licznych wypadkach myśliwy, względnie towarzystwo łowieckie, pragnące wziąć w dzierżawę polowanie w obwodzie łowieckim wspólnym, będzie zmuszone pouczać zwierzchność gminną, jak należy obwód łowiecki wspólny utworzyć, lub nawet załatwić za nią wszystkie formalności. W gminach zbiorowych w b. Kongresówce i na Ziemiach Wschodnich każda wieś (kolonja, zaścianek) może utworzyć oddzielny obwód łowiecki wspólny, jeżeli obszar gruntów łączących się, z których można tworzyć obwód łowiecki wspólny, wynosi conajmniej 250 ha. Wyjątkowo można będzie w obrębie jednej wsi utworzyć kilka obwodów łowieckich, jeżeli grunty włościańskie rozrzucone są w kilku grupach niełączących się; wówczas każda z takich grup winna obejmować obszar conajmniej 100 ha, aby z niej można utworzyć obwód łowiecki wspólny. Jeżeli wieś (kolonja lub zaścianek) nie obejmuje obszaru conajmniej 250 ha, a grunty drobne wsi nie stanowią grupy oderwanej od gruntów drobnych sąsiednich wsi, wówczas wieś nie może samodzielnie utworzyć obwodu łowieckiego wspólnego, lecz musi połączyć się w celu utworzenia obwodu łowieckiego z sąsiednią wsią, z którą grunta jej bezpośrednio się łączą. Przez grunty drobne rozumieć należy jednostki poniżej 100 ha; jednostki bowiem sto hektarowe, jako nadające się do tworzenia obwodu własnego, w skład obwodu wspólnego wchodzić nie mogą.

Wniosek o utworzenie wspólnego obwodu łowieckiego winien być zgłoszony przez właścicieli gruntów, z których obwód ma być tworzony. Nie jest konieczne, aby wszyscy właściciele gruntów zgodzili się na utworzenie obwodu łowieckiego; wystarczy, jeżeli zgodzą się właściciele gruntów stanowiących więcej niż połowę obszaru niezbędnego do utworzenia obwodu. A więc, jeżeli ogólny obszar gruntów drobnych danej wsi wynosi 260 ha, za utworzeniem obwodu powinni się opowiedzieć właściciele conajmniej 131 ha. Mniejszość będzie przymusowo włączona, na żądanie większości.

Wniosek o utworzenie obwodu łowieckiego winien być wyrażony w pisemnem zgłoszeniu, podpisanem przez wszystkich zgłaszających. Zgłoszenie winno mieć mniej więcej taką formę: „Do Starostwa w X. Niżej podpisani właściciele gruntów położonych we wsi Y. gminy Z. zgłaszają utworzenie obwodu łowieckiego wspólnego z następujących parcel (jednostek gospodarczych):

Imię i nazwisko właściciela gruntu	Obszar gruntu
Jan Gduła	36 ha
Alojzy Brożek	5 „
i t. d.	

Utworzeniu obwodu łowieckiego wspólnego sprzeciwiają się:

Imię i nazwisko właściciela gruntu	Obszar gruntu
Adam Sojka	12 ha
Wojciech Patyk	3 „
i t. d.	

Wykazane powyżej grunty obejmują cały obszar wsi po wyłączeniu obwodów łowieckich własnych i stanowią nieprzerwany obszar 260 ha (lub: wykazane powyżej grunty stanowią odrębną grupę gruntów o obszarze 105 ha, otoczonych obwodami łowieckimi własnymi).

Niżej podpisani proszą o zarejestrowanie obwodu łowieckiego wspólnego i nadanie spółce łowieckiej statutu". Następują podpisy wszystkich właścicieli gruntów zgłaszających obwód łowiecki. Dla ważności zgłoszenia nie potrzeba uprzedniego odbywania zebrań; w jaki sposób i przez kogo podpi-

sy zgłaszających zostaną zebrane, jest zupełnie obojętne.

Zgłoszenie winno być następnie skierowane do **zarządu gminy**. Zarząd gminy zaświadczy, że wiadomości podane w zgłoszeniu, zgodne są z rzeczywistością, i stwierdzi, że podpisy zgłaszających są autentyczne, a następnie prześle zgłoszenia starostom.

Artykuł 17 prawa łowieckiego postanawia, że obwód łowiecki powstaje po upływie miesiąca od dnia zgłoszenia go przez właściciela lub właścicieli gruntów w jego skład wchodzących, do właściwego starosty. W stosunku jednak do obwodów łowieckich wspólnych, nie wystarczy odczekanie upływu jednego miesiąca. Obwód łowiecki wspólny wprawdzie powstaje po upływie miesiąca, jednak spółka łowiecka nie powstaje przez sam upływ czasu, lez z chwilą nadania jej przez starostę statutu. Z postanowień art. 14 wynika, że starosta nadaje spółce łowieckiej statut jednocześnie z zarejestrowaniem obwodu łowieckiego, ponieważ zaś obwód łowiecki powstaje po upływie miesiąca, wniosek stąd, że po upływie miesiąca zgłaszający obwód łowiecki mogą domagać się, by starosta nadał spółce statut. Oczywiście starosta może zarejestrować obwód łowiecki wspólny i nadać spółce statut przed upływem miesiąca. Przed nadaniem statutu spółka prawnie nie istnieje, nie może zatem ważnie wydzierżawić polowania. Po nadaniu statutu zwołuje pierwsze walne zgromadzenie zarząd gminy, lub członek spółki, upoważniony do tego przez zarząd gminy.

O zwołaniu walnego zebrania zawiadamia się członków spółki przez ogłoszenie wywieszone na 14 dni przed terminem na tablicy, przeznaczonej do publikacyj urzędowych w tej wsi, w której spółka ma swą siedzibę, lub przez pisemne zaproszenia, doręczone członkom conajmniej na dwa dni przed terminem zebrania. W okresie robót polnych zebranie winno być zwoływane na niedzielę lub święto. Zebranie jest prawomocne przy takiej liczbie uprawnionych do głosowania, któraby przedstawiała przynajmniej połowę ogólnej liczby głosów. Aby uniknąć sprzeciwów i unieważniania zebrania z powodu braku quorum, należy przed pierwszem zebraniem dokładnie ustalić ilość głosów przysługujących każdemu z członków spółki. § 19 statutu nakłada na zarząd spółki obowiązek prowadzenia wykazu członków według następującego wzoru:

Imię i nazwisko	Obszar gruntu	Ilość głosów	Udział % w dochodzie spółki

Najpraktyczniej będzie sporządzić taki wykaz jednocześnie ze zgłoszeniem obwodu łowieckiego. Ponieważ zgłoszenie winno zawierać imiona, nazwiska i obszar gruntu wszystkich właścicieli, zarówno zgłaszających obwód, jak i opornych, dwie pierwsze rubryki wykazu, które muszą odpowiadać ściśle danym podanym w zgłoszeniu, wystarczy jedynie przepisać: Dane do rubryki 3 i 4 oblicza się: ilość głosów zgodnie z przepisem art. 19 prawa łowieckiego (§ 8 statutu), zaś udział procentowy w dochodzie spółki na podstawie stosunku obszaru gruntów stanowiących własność danego członka, do wszystkich gruntów stanowiących wspólny obwód łowiecki. Przykład: gdy ogólny obszar obwodu wynosi 300 ha,—członek X. posiada 15 ha gruntu, wówczas będzie mu przysługiwało głosów 15:2=7 (ułamki przepadają), udział zaś jego będzie wynosił: 15 : 300 = 0,05 t. j. 5 proc. Jeżeli zebranie nie dojdzie do skutku w pierwszym terminie z powodu nieobecności wymaganej liczby uprawnionych do głosowania, należy w ciągu ośmiu dni zwołać następne walne zebranie, które jako zwołane w drugim terminie jest prawomocne bez względu na ilość obecnych. To postanowienie nie jest specjalnością statutu spółki łowieckiej, lecz zawierają je wszystkie niemal statuty i regulaminy stowarzyszeń. Aby uniknąć niepotrzebnej straty czasu, praktykuje się w ten sposób, że zwołuje się zebranie w pierwszym terminie na godz. np. 10 rano, a w razie niedojścia do skutku z powodu braku wymaganej liczby obecnych, na godz. 11 (tego samego dnia) w drugim terminie. Obecni, którzy zjawili się na zebranie w pierwszym terminie, po stwierdzeniu, że zebranie do skutku nie doszło, mogą otworzyć po upływie godziny zebranie w drugim terminie. Członkowie spółki, którzy dla jakiegokolwiek powodu nie mogą w walnem zebraniu wziąć osobiście udziału, mają prawo wysłać swych pełnomocników, wydając im pisemne pełnomocnictwa, zaświadczone przez zarząd gminy. Pełnomocnikiem może być oczywiście jedynie osoba pełnoletnia, własnowolna, zdolna do działań prawnych, może nim być inny członek spółki łowieckiej, który w tym wypadku będzie głosował za siebie i za swego mocodawcę. Najważniejszem zadaniem, które walne zebranie musi wykonać, jest wybór zarządu spółki łowieckiej. Wybiera się: trzech członków zarządu i dwóch zastępców. Sposób wyborów określa § 14 statutu.

Do zakresu działania walnego zebrania należy również powzięcie uchwały o przeznaczeniu części dochodu na cele ochrony łowiectwa lub inne szczególne cele, nie wynika z tego jednak, by walne zebranie musiało taką uchwałę powziąć. Jeżeli nie zapadnie w tej sprawie żadna uchwała, cały dochód będzie rozdzielany między członków. Przeznaczenie dochodu na cele niezwiązane z łowiectwem, wymaga zgody ogółu członków spółki, wobec czego na walnem zebraniu taka uchwała prawie nigdy nie będzie mogła przejść, z tej prostej przyczyny, że trudno o walne zebranie, na któreby się wszyscy bez wyjątku zjawili.

Zarząd spółki składa się z **trzech członków.** Zastępcy nie biorą udziału w posiedzeniach zarządu, lecz wchodzą w skład zarządu dopiero na miejsce ubywającego członka zarządu. Na pierwszem posiedzeniu zarząd wybiera z pośród siebie przewodniczącego. W ten sposób mamy utworzoną spółkę łowiecką i ukonstytuowany zarząd spółki. Myśliwi, pragnący wydzierżawić polowanie w obwodzie łowieckim wspólnym, pertraktują z zarządem spółki i z nim zawierają umowę. Wszelkie uchwały zarządu spółki zapadają większością głosów, t. zn. conajmniej 2 członków musi za wnioskiem głosować. Umowę o dzierżawę polowania winni podpisać conajmniej dwaj członkowie zarządu.

Umowa o dzierżawę polowania może być zawarta conajmniej na lat sześć. Odpis jej należy przesłać właściwemu starostwu do wiadomości. Zatwierdzenia ze strony kogokolwiek umowa nie wymaga, jak również członkom spółki łowieckiej nie przysługuje prawo sprzeciwu. Jeżeli zarząd zawrze umowę ze szkodą dla interesów spółki, walne zebranie może pociągnąć zarząd do odpowiedzialności cywilnej. W razie wątpliwości należy sięgnąć do statutu spółek łowieckich. Statut został ogłoszony w N-rze 18 Dziennika Ustaw z roku bież., przedrukowany w N-rze 10 „Łowca Polskiego" z dn. 10.III.1928.

STANISŁAW BŁONAROWICZ.



W PUSZCZACH PECZORY.

(Zob. Nr. 12).

Ust' Cylma, ogromne sioło, leżące na prawym brzegu Peczory pod 65° p. szer., wprost ujścia do ostatniej z łączących się z sobą rzek Cylmy i Piżmy, liczy około 3.000 mieszkańców i jest siedzibą władz olbrzymiego powiatu Peczorskiego. Jest to miejsce może najdalej wysunięte na północ, gdzie jeszcze jako tako dojrzewa żyto, którego zapasy w urodzajnych latach, o ile nie ścisną wczesne przymrozki, wystarczają na 5 miesięcy w roku; średnio jednak trzeba przypuszczać czas 3 i pół do 4-ch miesięcy. Lepiej już przedstawia się sprawa pastwisk, które zatapiane corocznie podczas wiosennych wylewów Peczory i jej dopływów, dają mieszkańcom możność rozwinięcia dość znacznej hodowli koni, bydła i owiec. Głównem źródłem dochodów mieszkańców Ust' Cylmy, zwanych popularnie „Ust'cylmami", stanowi wyżej wspomniany „izwoz" na jarmarki w Pinedze i Ust'Waszcie, oraz jesienny połów siomgi, a nadto dla kobiet, oprócz wyrobu masła, wyrób pończoch i rękawic z szerści krowiej i owczej. Łowców-myśliwych na jarząbki, wiewiórki (popielice) gronostaje i zające, t. zw. „uszkany", między ust'cylmami stosunkowo niewielu, tak tylko, przygodnie. Główne gniazdo ludzi, których utrzymuje nieprzebyta tajboła peczorska, to mieszkańcy wiosek „Siergiejewo", 9 klm. na północ od Ust'Cylmy i „Garewo-Połuszyno", 11 klm. ku południowi, a nadewszystko prawie że pogłównie — mieszkańcy wsi położonych nad brzegami Cylmy i Piżmy. To już myśliwi z dziada pradziada, spędzający większą część życia, poczynając od 15 lat w lesie, w pogoni nietylko za ptactwem i drobnemi zwierzętami futerkowemi, do lisów włącznie, lecz i za grubszym zwierzem, jak ryś, a nadewszystko władcą puszczy północnej, niedźwiedziem. Niezawsze przytem prawdziwi tutejsi myśliwi, ci ze starszego wymierającego już pokolenia, powodowani są chęcią zdobycia zwierzyny dla zysku; przecież, gdy idzie o niedźwiedzia, pcha ich często żądza przygody, wręcz chęć zmierzenia się z potężnym zwierzem i wykazania swej odwagi, siły i zręczności; wskazuje na to częste używanie do ostatecznej rozgrywki rohatyny i jak na Syberji — noża, przyczem według mego zdania, użycie rohatyny przedstawia dla myśliwego więcej niebezpieczeństwa, niż użycie noża. To też główni dostawcy moi tak bitych, jak i żywych zwierząt i ptactwa, należeli do mieszkańców nadbrzeżnych tych dwóch rzek.

Wyszukanie i urządzenie odpowiedniego lokalu zajęło mi kilka dni, lecz udało mi się to nadspodziewanie pomyślnie. Po urządzeniu pracowni i zainstalowaniu w niej preparatora Piotra, wyruszyłem na objazd wsi, leżących nad brzegami Cylmy i Piżmy, śpiesząc, by te 300 — 350 klm. przejechać najwyżej w przeciągu czterech dni, i na święta Bożego Narodzenia powrócić do Ust'Cylmy. Wiadomość o skupywaniu przezemnie w nieokreślonej ilości wszelkich ptaków drapieżnych, żywych i bitych, wywołała wśród łowców-myśliwych wielkie zainteresowanie i zadowolenie, ponieważ ptactwo to zamieszkuje okoliczne lasy w wielkich ilościach i zbytu dotychczas na nie nie było. Obecnie w związku z memi zamówieniami, zarobki wielu z nich miały się znacznie zwiększyć, to też myśliwi, których przeważną część, wobec zbliżających się świąt zastałem w domu, przyjmowali mnie jeszcze gościnniej i życzliwiej, niż zwykle.

Muszę tu jeszcze zaznaczyć, że aczkolwiek nazywam stale północnych łowców myśliwymi dla braku w polskim języku odpowiedniego wyrażenia, to na północy Rosji Europejskiej myśliwych, trudniących się polowaniem dla zysku, nazywają „promyszlennikami" (dosłownie przemysłowcami) i w zależności od objektu łowów, mówi się: „promyszlat' pusznawo zwieria" „pticu", „rybu" i t. p. (polować na zwierzęta futerkowe, ptactwo, rybę i t. p.), gdy wyrazem „ochotnik" określa się myśliwego, polującego wyłącznie dla sportu i przyjemności.

Wiele nadziei pokładałem na osiadłego we wsi Filipowskaja — samojeda Siemiona Chotomejskiego z dwoma dorosłymi synami i siostrzeńcem, Wynczejskim, znającym dokładnie peczorską tajbołę w granicach czworoboku Cylmy do rzeki Suły, płynącej w tundrze na północy i od Tymańskich gór do Peczory, którzy, nie prowadząc żadnego gospodarstwa i nie trzymając koni, ani bydła, żyli wyłącznie z puszczy i byli znani przedewszystkiem ze znacznej ilości zabijanych corocznie rysi, mnożących się w tej części tajboły w znacznej ilości.

Najważniejsze objazdy myśliwych, w promieniu 125 — 150 klm. od Ust' Cylmy zakończyłem pomyślnie i powróciłem na święta do domu z tem, by najpóźniej 2 stycznia wyruszyć w dół Peczory aż do Pustozierska, leżącego o 325 klm. na północ już w delcie rzeki, a stamtąd urzeczywistnić zamiar, już od dłuższego czasu kiełkujący w mej głowie i wyruszyć na reniferach nad brzegi odległego morza Karskiego — na wyspę Wajgacz.

W drugim dniu świąt otrzymałem od Chotomejskiego z Filipowskiej niespodziewaną wiadomość o znalezieniu przez jego syna barłogu i propozycję przyjazdu na polowanie. Oczywiście zgodziłem się bez namysłu; miała to być moja pierwsza wyprawa na grubego zwierza, a przytem mogłem być pewnym, że tak wytrawni myśliwi nie narażą mnie na powrót do domu z próżnemi rękoma. Przedewszystkiem musiałem pomyśleć o nabyciu odpowiedniej broni, gdyż narazie rozporządzałem, jedynie, dodam, browningiem, co było dość niewystarczającem. W Archangielsku nie zaopatrywałem się w broń, nie wiedząc, czy czas pozwoli na tę rozrywkę, a będąc pewnym, że wrazie potrzeby, zawsze jaką strzelbę dostanę od miejscowego kupca Siemiaszkina. I rzeczywiście, nabyłem u niego za bezcen, gdyż tylko za 10 rb., doskonały sztucer, t. zw. carski, o którym już dawniej słyszałem. Historja tego sztuceru była następująca: Kiedyś, przed laty, przedstawiała się cesarzowi Mikołajowi II delegacja samojedów. Słysząc, że samojedzi trudnią się przeważnie polowaniem i słyną jako znakomici strzelcy, cesarz kazał zakupić dla kilku mężczyzn jakieś dobre, zagraniczne strzelby i ofiarował je samojedom.

(C. d. n.). WACŁAW NOWACKI.



Z CENTR. ZWIĄZKU POLSK. STOW. ŁOW.

Posiedzenie Wydziału Wykonawczego z dnia 20.IV 1928 r.

Przewodniczył p. St. Lilpop.

Na skutek odezwy w sprawie delegatów, pomieszczonej w Nr. 15 „Łowca Polskiego", zgłoszone zostały kandydatury na powiaty Sokolski, Brasławski, Lipnowski, Węgrowski i Iłżecki. Kandydatów Wydział zaaprobował i polecił przeprowadzić z nimi korespondencję.

Ponieważ p. St. Lilpop, członek Komisji wyłonionej do definitywnego opracowania redakcji zmian statutu Związku, oświadczył, że nie jest jeszcze przygotowany do omawianej sprawy, gdyż od jego powrotu do kraju upłynęło zaledwie kilka dni. Wydział odracza tę sprawę na najbliższe posiedzenie.

Wydział zakwalifikował do przyjęcia w poczet Członków Centrali: Zachodnio-Pomorski Klub Myśliwski w Chojnicach (Pomorze) i Towarzystwo Praw. Myśl. im. św. Huberta w Wojkowicach Komornych. Z wnioskiem powyższym wystąpi Wydział do Zarządu Centrali. Jednocześnie Wydział poleca wysłać do Klembowskiego Kółka Myśliwskiego w Klembowie deklarację i kwestjonarjusz do wypełniania, po otrzymaniu których, sprawa przyjęcia wspomnianego Kółka będzie rozpatrzona przez Wydział.

Ze względu na owocną działalność dla dobra łowiectwa, p. Antoniego Stelmaszyka, Wydział postanowił zaproponować mu przyjęcie delegatury na powiat Wysoko-Mazowiecki i wystosuje do p. Stelmaszyka pismo.

W związku z ponowną korespondencją Wielkopolskiego Zw. Myśliwych w Poznaniu, dotyczącą urządzenia działu łowieckiego na Powszechnej Wystawie Poznańskiej w r. 1929, Wydział zdecydował uzyskać dane z Ministerstwa Rolnictwa, czy możliwe jest otrzymanie subsydjum rządowego na tę imprezę. Po uzyskaniu informacyj z Min. Rolnictwa, Wydział podzieli się niemi z Wielkopolskim Związkiem Myśliwych. P. Lilpop ofiarował się osobiście porozumieć z Min. Rolnictwa.

W celu określenia T-wu Praw. Myśl. „Diana" w Zawierciu, wartości hodowlanej poszczególnych zwierząt i ptaków łownych, Wydział postanowił zasięgnąć opinji w tej kwestji p. Pawła Lazara z Krośniewic.

Wydział zwróci się do swych Delegatów w pow. Baranowickim i Słonimskim o nadesłanie wyczerpujących danych, dotyczących zabicia na polowaniu u p. Jundziłła w Rudopolu łoszy i łoszaka przez p. Jerzego Ciechomskiego.

Wydział uchwala jednogłośnie wystosować do pp. M. hr. Potockiego i Edw. hr. Krasińskiego zaproszenia, aby ci panowie wstąpili do Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego". Jednocześnie Wydział wyznacza zastępcę chorego redaktora prof. Sztolcmana w osobie mecenasa W. Garczyńskiego do sprawowania tej funkcji.

Wobec rozplakatowania we wszystkich Województwach główniejszych postanowień Prawa Łowieckiego, Wydział postanawia zwrócić się do p. Wojewody Warszawskiego z prośbą o wydanie w tym kierunku podobnego zarządzenia.

Wydział Wykonawczy zawiadamia, że doroczny Zjazd Przedstawicieli Towarzystw-członków wyznaczony jest na dzień 9 czerwca r. b.

Zawiadomienia z bliższymi szczegółami zostaną rozesłane przez Sekretarjat.

WOJSK. TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE.

Na walnem zgromadzeniu, odbytem w dn. 23 kwietnia r. b. zostali wybrani: prezes zarządu gen. bryg. i II wiceminister Fabrycy Kazimierz, wiceprezes płk. Buckiewicz Antoni, łowczy ppłk. dr. Kamiński Tadeusz i zastępca łowczego: kpt. Gorazdowski Jan, II zastępca łowczego mjr. inż. Proszkowski Dymitr, sekretarz i skarbnik kpt. Czajkowski-Wanat Mieczysław, zastępca skarbnika kpt. S. G. Rozwadowski Władysław, przewodniczący komisji rewizyjno-nadzorczej gen. dyw. Sosnkowski Kazimierz, jako członkowie: gen. bryg. dr. Maciszewski Feliks, płk. dr. Mieszkowski Marjan, jako zastępcy: maj. inż. Zabłocki Stefan, ppłk. dr. Polkowski Kazimierz.

MAŁOPOLSKIE TOW. ŁOW.

Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na ostatniem posiedzeniu orzekł, że należy energicznie przeciwdziałać wytępieniu rysi w Karpatach, gdyż jest to jednem z dążeń do ścisłej współpracy z Radą ochrony przyrody.

Wydział postanowił wnieść rekurs do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeciw reskryptowi urzędu województwa krakowskiego, który zażądał nadania oddziałowi Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie — osobnego statutu i odrębnej osobowości prawnej.

Termin dorocznego zjazdu ustalono na dni 22 i 23 czerwca.

INSTYTUT ŁOWIECKI.

W Stanisławowie Małopolskim z inicjatywy wojewody, dra Aleksandra Morawskiego powstał instytut łowiecki, przy którym utworzona zostanie stacja doświadczalna, mająca na celu badanie i zwalczanie zaraźliwych chorób zwierzyny łownej. Przy Instytucie powstanie spółka hodowlana w celu podniesienia stanu zwierzyny, ułatwienia kupna i sprzedaży tejże oraz jaj ptactwa łownego. Pomoc w organizacji ofiarował p. inż. Kamocki z Warszawy, autor doskonałych artykułów z dziedziny hodowli drukowanych w „Łowcu Polskim". Instytut zajmie się także wprowadzeniem hodowli zwierzyny futerkowej i hodowlą psów myśliwskich.

POLSKI KLUB MYŚLIWSKI W ZŁOCZOWIE.

Walne Zgromadzenie Polskiego Klubu Myśliwskiego w Złoczowie odbędzie się **dnia 17 maja r. b. we czwartek o godz. 5 po poł.** w sali Polskiej Organizacji Narodowej, a w razie braku kompletu statutem oznaczonego, — **o godz. 6-ej wiecz.,** bez względu na ilość obecnych.

Na porządku dziennym są: sprawozdania sekretarza z czynności Zarządu, rachunkowe za 1927/28, preliminarz na r. 1928/9; oznaczenie wysokości składek; wybory 3-ch członków Zarządu, 5 — Komisji rewizyjnej.

Prezes: Tadeusz Blumski.

Sekretarz: Ludwik Drozdowski.



KRONIKA MYŚLIWSKA.

—o— W lasach Butyńskich w powiecie Żółkiewskim, na polowaniu w końcu stycznia w 8 strzelb, zabito 10 rogaczy, 29 zajęcy i 3 lisy.

—o— W Rafajłowej pod Dolżyńcem w Małopolsce Wschodniej dn. 4 kwietnia r. b. inż. Witold Roszkowski ubił bardzo dużego niedźwiedzia przy ścierwie o godz. 8 wieczorem, niemal po ciemku, z odległości około 22 kroków. Niedźwiedź strzelony był na komorę.

—B. Z.— Wyniki polowań Nadbużańskiego Kółka Myśliwskiego: 22.XI w 11 strzelb na terenach Wyrozęby padło 12 zajęcy; królem polowania był p. T. Rosiński ze Szkopów. Teren Wyrozęby do tego roku uchodził za najlepszy, lecz z powodu kłusownictwa i wnyków zupełnie podupadł.

3.XII na polowaniu w 17 strzelb zabito 26 zajęcy i 1 lisa, królestwo osiągnęli p. K. Bujalski z Jabłonny i p. Zb. Malewicz z Przezdziatki.

10.XII na terenach wsi Brodacze, Błoniewicze i Kożuchówek, w 21 strzelb zabito 35 zajęcy, królował p. C. Winnicki z Kupientyna.

15.XII na terenach wsi Petrykozy w 18 strzelb zabito 54 zające, królował p. K. Bujalski z Jabłonny.

25.XII na terenach wsi Zawady w 16 strzelb zabito 21 zajęcy, królem polowania był p. Cz. Winnicki z Kupientyna.

28.I na terenach wsi Kobylany, Kozy i Czarnoty w 15 strzelb zabito 36 zajęcy, królował p. Zb. Malewicz z Przezdziatki.

Ogólnie zwierzostan na terenach wydzierżawionych przez Nadbużańskie Kółko Myśliwskie, przedstawił się bardzo źle. Ogółem zabito zajęcy 184 szt. i 1 lisa, królem całego sezonu polowania został p. Cz. Winnicki z Kupientyna, gdyż miał na rozkładzie 28 zajecy.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

P. inż. Karol Bergfried nadsyła nam z nadleśnictwa Spuszańskiego p. Eustachego ks. Sapiechy, co następuje:

Dnia 15-go kwietnia o godz. 10-ej wiecz. strzałem przez zasłonięte okno został zamordowany podleśniczy tutejszego nadleśnictwa ś. p. **Wacław Zdanowicz.** Pogrzeb odbył się d. 18.IV na cmentarzu par. Dziembrów, pow. Lidzkiego. Cała tutejsza ludność polska, dbająca o ład i porządek, oddała umarłemu ostatnie przysługi, formując orszak pogrzebowy do 500 osób. Ojciec rodziny Zdanowiczów objął służbę tutaj w 1901 r. jako nadgajowy i zmarł na tem stanowisku w 1922 r. Jego syn, ś. p. Wacław, po starannem przygotowaniu się do służby leśnej, po ukończeniu kampanji polsko - bolszewickiej, jako ochotnik, został w 1920 r. przyjęty jako nadgajowy, zaś w r. ub. za wzorowe pełnienie służby leśnej, za tępienie kłusownictwa i defraudacyj leśnych, został mianowany podleśniczym. W nieboszczyku nadleśnictwo straciło jednego z najzdolniejszych pomocników.

— **Ś. p. Władysław Rektorowski,** nestor leśnictwa Wielkopolskiego, b. członek Związku Zawodowego Leśników, zeszedł z tego świata. Całe swe życie oddał na usługi lasów ojczystych. Pozostanie na zawsze w żywej pamięci kolegów.

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY MYŚLIWSKIE.

Międzynarodowa Federacja Myśliwska urządza konkursy z broni myśliwskiej, kulowej i śrutowej, o mistrzostwo międzynarodowe i świata w okresie od 7 do 26 maja b. r. w Paryżu.

Program zawodów dzieli się zasadniczo na 2 części:

A. Strzelanie do celu ruchomego śrutem (rzutki, gołębie) odbędzie się w Issy (Seine).



Nadbużańskie Towarzystwo Myśliwskie.

B. Strzelanie do celu ruchomego kulami (jeleń biegnący) na strzelnicy narodowej w Wersalu.

Prócz tego odbędą się zawody międzynarodowe w strzelaniu z dowolnej broni długiej i krótkiej (pistolet, rewolwer; karabinek precyzyjny cal. 22).

Szczegółowo program powyższy przedstawia się w sposób następujący:

A. Strzelanie do rzutków.

I. Zawody tygodniowe. — Serja 20 rzutków, wylot nieznany, z prawem ponowienia 20 rzutków dowolnie. Strzelanie odbywa się codziennie rano. Opłata wstępna wynosi 40 franków za serję. Jako nagrody przewidziane są cenne przedmioty i żetony złote, srebrne i bronzowe.

II. Wielka nagroda Francji. — 50 rzutków, wylot nieznany, do odstrzelania w ciągu jednego dnia, z prawem ponowienia seryj w ciągu 20 dni. Klasyfikacja — w końcu zawodów według najlepszego odsetka. Strzelanie to odbywać się może w 2 serjach po 25 rzutków, kolejno po sobie następujących i obowiązkowo zsumowanych. Opłata wstępna 80 franków. Strzelanie odbywa się w godzinach popołudniowych.

III. Mistrzostwo świata. — 100 rzutków, wylot nieznany, do odstrzelania w ciągu jednego dnia bez prawa ponawiania seryj.

Zawodnik wybiera sobie dzień dla rozegrania szampjonatu, mając możność strzelania w 4 serjach po 25 rzutków, obowiązkowo zsumowanych. Nikt nie będzie mógł uczestniczyć w tym konkursie, o ile przedtem nie odstrzelił 3 seryj po 20 rzutków (zawody tygodniowe). Klasyfikacja — według najlepszego, przeciętnego wyniku. Opłata wstępna 100 franków. Jako nagrody przewidziano: przedmioty sztuki i żetony złote, srebrne i bronzowe.

B. Strzelanie kulami do jelenia biegnącego.

I. Wielka nagroda Francji. — Serje z 20 strzałów do jelenia w ciągu 20 dni konkursu, z prawem ponowienia strzałów pojedyńczych.

Opłata za serję 20 strzałów: 20 franków. Klasyfikacja — według najlepszych tarcz w końcu konkursu. Nagrody analogiczne j. w.

II. Mistrzostwo świata (strzał pojedynczy). — Serje z 50 strzałów do odstrzelania w ciągu jednego dnia bez prawa ponawiania. Opłata — 100 franków. Klasyfikacja — według najlepszej przeciętnej wyników.

III. Mistrzostwo świata (strzał podwójny). — Regulamin jak wyżej.

We wszystkich powyższych zawodach uczestniczyć mogą myśliwi wszelkich narodowości.

Federacja Myśliwska ma swą siedzibę w Paryżu. Adres: Federation International de Tir aux armes des chasse a Paris, rue de Clichy 21.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

— W dwóch numerach kwietniowych „Łowiec" lwowski zamieścił następujące prace:

„Pół wieku" Seweryna Krogulskiego. — „Z łowów zimowych" Jerzego hr. Potockiego. — „Koziorożec alpejski" — Alberta hr. Mniszka. — „Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych" Antoniego Pisulińskiego. — „Bielak na Podolu" Jana Narkiewicza Jodki. — „Wędrówki ptaków i ich życie rodzinne" Władysława Czerniejewskiego. — „Kraków" Stillera. — „Pietrusza Wola" St. Graffa. — „Lwów" Stanisława Cieńskiego. — „Niemirów" Krusensterna. — „Stanisławów" K. Piórkowskiego. — „Nadesłane". — „Z wydawnictw".

„Pierwszy Polski Instytut Łowiecki" Z prezydjum M. T. Ł. — „Powstanie Pierwszego Polskiego Instyt. Łow.". — „Z dziedziny broni i amunicji" Alberta hr. Mniszka. — „Do art. Morituri" K. Strzemienia. — „Kalendarz Myśliwski na rok 1928" A. Przedrzymirskiego. — „Oficerska bibljoteka myśliwska w Przemyślu" W. Z. — „Przystań" Władysława Radzikowskiego. — „Gródek Jagielloński" H. M. — „Załuż" Pawła Wiktora. — „Rudnik" H. Tarnowskiego. — „Lwów" S. — „Sprawy Towarzystwa" d-ra Witolda Ziembickiego.

— O niemieckiej książce Alberta Preussa „Jagdwaffen" (Broń myśliwska) pisze „Przegląd Strzelecki": „Jest to treściwy, zwięzły elementarz na temat broni myśliwskiej, zarówno śrutowej, jak i kulowej; podaje dużo cennych wskazówek dotyczących budowy broni, gatunków i rodzajów luf, wyboru broni do danego typu polowania i t. p. Zawiera ponadto cenne dane balistyczne o najbardziej znanych, niemieckich gatunkach broni kulowej. Brak, niestety, zupełnie nauki strzelania. Dziełko bardzo pożyteczne dla początkujących myśliwych, zasługuje na tłumaczenie".

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Strzelanie do psów.

Czy wolno strzelać we własnym obwodzie łowieckim wałęsające się wyżły tresowane, nietresowane, jak również i ogary?

ROMAN PRZYBYLSKI.

Psy myśliwskie, wymienione szczegółowo w ostatnim ustępie art. 36, można jedynie zatrzymywać oraz można żądać od właściciela wynagrodzenia szkód wyrządzonych przez takie psy. Strzelać psów takich nie wolno. Prawo zabijania psów ogranicza się po myśli art. 37 jedynie do psów niemyśliwskich.

W. W. G.

WIADOMOŚCI MYŚLIWSKIE.

Krajowe.

+ **Hodowla bażantów.** — Właściciel majętności Poledno p. Wuthenau i p. Dehring z majątku Gawroniec na Pomorzu założyli w ub. roku hodowlę bażantów, która nadspodziewane przyniosła wyniki. W ostatnim czasie założono w tych majątkach także hodowlę zajęcy-szaraków, dużej rasy, sprowadzonych w tym celu z Wiednia.

+ **Wypadki z bronią.** — Policjant w Spale, pełniący służbę przy pałacu, ładując broń, postrzelił się w nogę.

W Gołańczy (Wielkopolska) w Wielką Sobotę postrzelił się przez nieostrożność w brzuch robotnik Karol Kwasiżur z Morakowa. K. czyścił rewolwer, aby móc podczas świąt się „popisywać".

+ **Kurs łowiectwa.** Wielkopolska Izba Rolnicza urządza w Kórniku 6-tygodniowy kurs dla borowych, podleśniczych z lasów prywatnych. Początek kursu dn. 30 maja, koniec dn. 11 lipca. Na kursie wykładane będą między innemi ochrona i hodowla zwierzyny, oraz łowiectwo wogóle.

Wzór do naśladownictwa. — Prawidłowi myśliwi z powiatu Sanockiego wyrażają się z wielkiem uznaniem o działalności tamtejszego starostwa, którego referent łowiecki, dr. Proń prowadzi energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem i pracuje wytrwale nad poprawą stosunków łowieckich.

Bibljoteka myśliwska. Kierownik Bibljoteki Oficerskiego Kasyna garnizonowego w Przemyślu kapitan Józef Władysław Kobylański, współpracownik „Łowca Polskiego", stworzył w tej bibljotece specjalny dział myśliwski, obejmujący już 88 dzieł.

Tryplet do wyder. — W Przystani pow. Żółkiewskim w ubiegłym sezonie myśliwskim p. Radzikowski (junior) trypletem ustrzelił trzy wydry.

Za kłusownictwo. — Kłusownika ujętego w lasach Butyny w pow. Żółkiewskim — ze strzelbą i zającem — skazano na 4 miesiące więzienia.

+ **Zawody strzeleckie.** — W niedzielę dn. 22 kwietnia b. r. na strzelnicy w ogrodzie Saskim rozegrany został I dzień konkursu o puhar przechodni dla nienagrodzonych. Zwyciężył p. Henryk Boye (harcerz), 2) Koczorowski (Zw. Strzelecki), 3) Kubalski (harc.), 4) Strzemiński. Udział zawodników bardzo liczny.

Zagraniczne.

+ **Oślepłe foki.** — W zatoce Deep Bay, na wyspie Vancouver setki fok igrało w płytkich falach. Przepływający tuż obok statek z ładunkiem nafty, uderzył o skałę; nafta rozlała się po powierzchni wody, a ponieważ foki w dalszym ciągu pozostawały na powierzchni fal, nafta przedostała się im do oczu i oślepiła je. Zwierzęta, pozbawione wzroku, poczęły wydawać żałosne, przeraźliwe krzyki. Niektóre rzucały się na skały i rozbijały sobie czaszki; inne musiała dobijać załoga statku.

+ **Amerykański park zoologiczny.** — Z fundacji Rockefellera, powstaje w Stanach Zjednoczonych olbrzymi park zoologiczny, który będzie bezpiecznym przytułkiem dla wymierających już obecnie gatunków zwierząt.

Park Rockefellera obejmuje 13.200 hektarów ziemi, pokrytej lasami i bujnemi łąkami. Na tym terenie wznosi się dziesięć szczytów górskch, z których najwyższy dochodzi do 2.000 metrów wysokości. Przez park Rockefellera przepływa kilkanaście bogatych w wodę strumieni i znajduje się duże jezioro. Wielkie te obszary urządzono możliwie najhigjeniczniej i najwygodniej dla przyszłych mieszkańców, jakimi będą czarne niedźwiedzie, bobry, różne rodzaje antylop i kozic, żubry i mnóstwo drobnego zwierza oraz ptactwa. Koszt racjonalnego urządzenia tego najdoskonalszego zwierzyńca obliczono na 20 miljonów dolarów.

+ **Kozice dla londyńskiego ogrodu zoologicznego.** — Na zlecenie poselstwa szwajcarskiego w Londynie, pragnącego ofiarować londyńskiemu ogrodowi zoologicznemu kilka kozic alpejskich, strzelcy z Gruyeres schwytali żywcem dwie kozice, które umieszczono w stajni w Charmey. Początkowo obie kozice schwytane odmawiały przyjmowania pożywienia, ale po kilku dniach nie wytrzymały już postu i oswoiły się ze swem więzieniem. Obie jednak te kozice okazały się samicami, więc strzelcy z Gruyeres podjęli się trudnego i niebezpiecznego zadania schwytania śród ośnieżonych szczytów alpejskich kozicy samca, gdyż samiec taki potrafi bronić się rozpaczliwie ostrymi swymi rogami. Dopiero po schwytaniu samca kozice wysłane będą do Londynu.

+ **Renifery w Alpach.** — Renifery laplandzkie, sprowadzone przez rząd amerykański na Alaskę i przez rząd kanadyjski do Labradoru, przyjęły się doskonale, wobec czego francuski Związek alpinistów, tudzież Touring Club postanowiły przedsięwziąć próby zaaklimatyzowania tych pożytecznych zwierząt też w Alpach francuskich. W tym celu sprowadzono najpierw parę reniferów, a gdy okazało się, że służy jej chłodny klimat górski i że wkrótce potem wydała na świat potomka, sprowadzono z Laplandji całe stadko i ulokowano w dolinie Grande Chartreuse, w wielkim parku na ten cel przeznaczonym. Tam w ciągu roku stadko już się rozmnożyło, to też wkrótce już inicjatorzy hodowli będą mogli dostarczać reniferów rozpłodowych pochodzenia alpejskiego.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktor: **Julian Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.**

LIST DO REDAKCJI.

Radziejów Kujawski, dn. 5 kwietnia 1928 r.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE.

Uprzejmie prosząc o zamieszczenie listu, zaznaczam, że ponoszę wszelkie konsekwencje ogłoszenia.

Rok temu kupiłem zaocznie od p. Ign. Jasińskiego, właściciela Hodowli wyżłów wszechstronnych z nad Gopła, psa spanjela, z zastrzeżeniem, że będzie koniecznie pies, a nie suka i że będzie dobrze aportował kaczki. Kiedy po wysłaniu zgodzonej sumy 200 zł. w parę dni zgłosiłem się po psa, p. Jasiński spanjela nie miał, a dał mi niemieckiego, gładkiego wyżła, z tem, że jeżeli po wypróbowaniu go w sezonie on mi się nie będzie podobał, to go zamieni na innego psa, odpowiadającego moim wymaganiom. Trzymałem psa do sierpnia i przekonałem się, że jest on absolutnie bez węchu, bo deptał po zabitej kaczce, nie mogąc jej znaleźć. Prosiłem więc p. Jasińskiego o zamianę. P. Jasiński zgodził się, lecz dał mi sukę Lidę, szorstkowłosistą, rzekomo siostrę znakomitego Ingo, a ponieważ chciałem koniecznie psa, więc p. Jasiński przyrzekł, że jak będzie miał gotowego psa, to mi zamieni tę sukę na psa. Po kilku dniach wziąłem Lidę na polowanie i ona po spuszczeniu ze smyczy uciekła mi. W kilka tygodni potem znalazłem ją za pomocą ogłoszenia w „Łowcu Polskim", lecz przekonać się o jej wartości nie udało mi się, gdyż ona panicznie bała się strzału, a nim ją przyzwyczaiłem do strzału, nastąpiła zima. Nie chcąc mieć suki, zwróciłem się znowu do p. Jasińskiego, przypominając mu o przyrzeczeniu zamiany Lidy na psa, lecz na 2 moje polecone listy z załączonymi na odpowiedź znaczkami żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Zrozumiałem więc, że swoje przyrzeczenie p. Jasiński puścił w niepamięć. W ostatnim numerze „Łowca P." przeczytałem ogłoszenie p. Jasińskiego, że ma na sprzedaż wyżła I-ej jakości, więc mając zamiar go kupić, a przy okazji zwrócić mu jego sukę, napisałem do niego list polecony, zapytując o cenę tego psa, lecz ku memu zdziwieniu list wrócił do mnie z notatką Urzędu Pocztowego: „Adresat odmówił przyjęcia". Z tego wnioskuję, że p. Jasiński sądził, że i na ten raz domagam się od niego spełnienia jego przyrzeczenia zamiany suki na psa i w ten sposób, świadczący o poziomie jego dobrego wychowania, oznajmił mi, że o tem nie chce słyszeć.

Mając na względzie, że i każdy inny z kolegów-myśliwych może być narażony na to samo, co mnie spotkało, przy zwróceniu się do p. Jasińskiego, podaję powyższe do wiadomości ogółu myśliwych. Na dowód prawdziwości danego faktu załączam list mój, nieprzyjęty przez p. Jasińskiego.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku i poważania

GUSTAW OKOŁO-KUŁAK.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.